

Paweł Brawo

## Ile kosztuje twój obiad?

Nie, nie wyciągaj z kosza paragonu z supermarketu ani nie sprawdzaj na wyciągu z karty, jeśli zamówiłeś lub zamówiłaś go w chwilowo nieczynnej restauracji z dowozem – czy z braku czasu, czy po to, by wesprzeć ulubiony lokal w trudnym czasie, bo nie wyobrażasz sobie swojej miejskiej egzystencji bez rozwiniętej gastronomii i płacisz za tę namiastkę, traktując to jako inwestycję w przyszły powrót do tak zwanej normalności. Mam przy okazji nadzieję, że dałeś solidny napiwek zziębniętemu kurierowi.

Nie pytam o twój bezpośredni wydatek. Owszem, on też nam wiele może powiedzieć – o twoim statusie materialnym, aspiracjach, priorytetach, a także miejscu pochodzenia i zamieszkania. I to są bardzo ważne sprawy, świetny punkt wyjścia do brzemienych w treści przemyśleń – a może i ważnych życiowych decyzji. O czym na pewno wiesz, skoro skusiła cię w księgarni książka, o której wiesz na razie tylko tyle, że próbuje świat wyjaśnić, a może i naprawić, opisując to, co i jak ludzie jedzą.

Skądinąd byłoby ciekawe pobawić się kiedyś w rozbicie wydanych właśnie na obiad pieniędzy na składowe łańcucha wartości, którego twoje decyzje zakupowe i strategia konsumentka są ostatnim ogniwnem. Okazałoby się szybko, jak niewielka część trafia do ludzi i wspólnot zajmujących się faktycznym wytworzeniem podstawowych składników tego, co masz w garnku i na talerzu. Rolników, hodowców, pierwszych przetwórców, poddających to, co zebrane lub zarżnięte niezliczonym procesom, których najważniejszym celem jest uczynienie całego tego dobra strawnym, zdatnym do transportu i bezpiecznego

przechowywania. Pamiętasz, ci ludzie pojawiają się właściwie od razu na pierwszych kartach twoich świętych ksiąg i w mitach, baśniach, którymi uczono cię rozumieć strukturę świata i rozróżnić dobro od zła. Są archetypami ludzkiego trudu. Dziś dostają nędzne grosze, z tej góry pieniędzy, jaka krąży po branży spożywczej. Uzmysłowanie sobie tego, ile po drodze zostało na kontaktach pozbawionych twarzy firm jak najdalszych od pola, obory czy sadu, doskonale obojętnych na to, czy twoje jedzenie dobrze służy tobie i otoczeniu, za to wybitnie zainteresowanych tym, żeby skutecznie nawciskać ci coraz to nowsze obietnice szczęścia... otóż rozpisanie tej struktury zysków byłoby dość proste, wystarczyłby kawałek serwetki. Ale popsułoby ci to trawienie, zostawmy więc to na kiedy indziej. Zresztą już w szkole uczyli cię, że podział pracy to jeden z pierwszych przejawów rozwoju cywilizacji, nie ma więc co narzekać, że mieszkając w mieście, nie uprawiasz roli i nie tkasz płótna na kaftan z lnu rosnącego za oknem. Może ten podział jednak zaszedł za daleko i dałoby się kilka piętér tej koszmarnej konstrukcji zburzyć, zastąpić prostszymi powiązaniem? O tym też na pewno rozmyślasz, skoro skusiła cię w księgarni książka, o której wiesz na razie tylko tyle, że próbuje świat wyjaśnić a może i naprawić, opisując to, co i jak ludzie jedzą.

Zostawmy więc, jak się rzekło, wydane pieniądze, skupmy się na tym, kto i czym płaci za fakt, że twoje jedzenie jest względnie tanie i od co najmniej połowy zeszłego wieku w naszej przytulnej Europie problemem nie jest głód, lecz co najwyżej nie dość szeroki wybór żywnościowy. Myślisz czasem, jak i gdzie powstają te koszty, w czym je wyrazić, jak je rozpoznać? Jeśli to brzmi abstrakcyjnie, i nie lubisz słuchać o ekonomii, to pomyśl, że czasami walutą jest twoje własne zdrowie, o czym już ci powiedział albo wkrótce powie lekarz, diagnozujący cukrzycę oraz inne schorzenia i zaburzenia związane bezpośrednio z układami odpowiedzialnymi za przemianę materii. Czasem degeneracja tej materii nie odbywa się w twoim ciele, ale w otoczeniu na tyle bliskim, że jesteś w stanie naocznie rejestrować wyjałowienie monokulturowego krajobrazu, gdy przecinasz samochodem jakiś ważny rolniczo region. Jechałeś kiedyś przez któreś zagłębienie

sadownicze? Często jeżdżę z Warszawy na południe i muszę zamykać oczy, kiedy mijam okolice Grójca. Bo potem po nocach śnią mi się te rozpięte na drutach po horyzont rozpaczliwe badyle, niby-drzewka, koszarne mutanty zmuszone do dźwigania na cienkich gałązkach jabłek już w rok czy dwa po nasadzeniu. Jak te kurczaki, zmutowane tak, by ich cenne rynkowo piersi tak szybko przybierały na masie, że ptak nie jest w stanie siebie samego udźwignąć i spędza krótki żywot w stanie właściwie półparaliżu.

Ale tego nie widzisz, nawet jeśli ferma jest tuż obok drogi. Zresztą na szczęście dla twojego spokoju większa część szeroko pojętych ekologicznych i społecznych kosztów jedzenia jest generowana na tyle daleko, że nie masz szans zobaczyć zaburzonych ekosystemów, zdewastowanych siedlisk, upadających społeczności i wyzysku. I nie myśl, że to cię nie dotyczy, skoro nie jesz mięsa, które jest ostatnio na cenzurowanym jako sprawca znacznego śladu węglowego, wycinki lasów i innych łatwych do pokazania w telewizji szkód dla planety. Twoje awokado, ten fundament świadomej wegańskiej diety, nie jest wcale lepsze. Po co zresztą szukać przykładów aż w Ameryce Łacińskiej okradanej z wody na uprawy naszego ulubionego dodatku do tosta. Pytałeś kiedyś sprzedawcę truskawek, ile płaci i jak traktuje swoich robotników z Ukrainy? I ile musiałyby te truskawki kosztować, gdyby chciał płacić stawkę uważaną za godziwą w polskich warunkach? Powiesz oczywiście, że tych ludzi nikt nie zmusza, a śmieszne dla nas pieniądze stanowią całkiem dobrą płacę w ich warunkach. Może to i prawda, ale przyjmę ten argument dopiero, jak się zdecydujesz pomieszkać tydzień w rozgrzanym od słońca kontenerze i odbębnić przedłużone dniówki w zgieściu wpół nad krzaczkami. Zresztą w naszej zbiorowej świadomości powinniśmy nosić ślady tego doświadczenia, bo pozostajemy jako społeczeństwo częścią tego osobliwego taśmociągu, który ze wschodu na zachód przenosi pracę zapewniającą tanie jedzenie: Polacy wszak zbierają niemieckie szparagi. Pewien tamtejszy plantator, zapytany, czemu w warunkach pandemii i zamkniętych granic nie zatrudni raczej miejscowych, odpowiedział, że to jest praca, od której bolą plecy, co dla Niemca jest nie do przyjęcia. A może

okazałoby się do przyjęcia, ale za zdecydowanie większe, niemieckie, a nie polskie pieniądze.

Ból pleców da się jako tako wycenić – choćby odnosząc do stawek za rehabilitację kręgosłupa. Podobnie jak koszt regeneracji zwyrodniałych systemów przyrodniczych. Tyle że jeśli mieszkasz w Europie, to raczej za to nie płacisz – delegujemy to na obce społeczności ludzi i przyszłe pokolenia. Co prawda w fundamentach naszej cywilizacji zawarte są te dwie prawdy – że będziemy w pocie czoła zdobywać pożywienie, a zarazem czynić sobie ziemię poddaną. Ale czy obie te zasady bytowania na ziemi nie poszły w swojej realizacji za daleko? I w dodatku w sposób skrajnie nierówno dzielący owe zadane przez Boga pot i poddaństwo? Może nie robisz tego w sposób systematyczny, ale na pewno przeczuwasz, że nie ma czegoś takiego jak tani obiad, skoro skusiła cię w księgarni książka, o której wiesz na razie tylko tyle, że próbuje świat wyjaśnić, a może i naprawić, opisując to, co i jak ludzie jedzą.

Na pewno też masz złe myśli, że ta bania musi pęknąć. Ale nie wiesz, jak temu zapobiec. Czujesz, że jesteśmy w samym środku czegoś, co z braku lepszego słowa nazywamy „Systemem”. Wszystko to, co budzi twój niejasny niepokój albo wyartykułowany sprzeciw, wydaje się dobrze naoliwioną maszyną, której nie da się zatrzymać, podregulować – czy choćby totalnie zniszczyć w szale sprawiedliwego gniewu. Już anarchiści sprzed półtora wieku przekonali się, że bombą i rewolwerem nie zburzy się państwa i ustroju, a co dopiero dziś, kiedy ten system wydaje się o wiele bardziej domknięty, samonośny, tresujący nasze najgłębsze instynkty i umiejący nawet spieniężyć nasze odruchy buntu. Czucie się częścią i służą systemu budzi przygnębienie, a zarazem to bardzo wygodna postawa, pozwala bowiem poużalać się nad złym losem, po czym w spokoju pielęgnować swoje miejsce w jego strukturach. Co jakiś czas wykonać gest, pusty i piękny jak foremny dzban ze szlachetnej gliny, jeden procent podatku na Greenpeace, stalowa słomka do drinków, skrzynka warzyw od rolnika. Na pewno cię to czasami, w chwilach szczerości, gniecie, skoro skusiła cię w księgarni książka, o której wiesz na razie tylko tyle, że próbuje świat wyjaśnić, a może i naprawić, zaczynając od tego, co i jak ludzie jedzą.

Cały ludzki świat i sposób naszego w nim bytowania jest zdeterminowany przez jedzenie – a taki jest sens tytułu książki, którą trzymasz w rękach. Opisuje go równanie, którego złą stronę mniej więcej znasz, rozumiesz te sprzeczności, jakich tutaj dotknęliśmy. A jeśli nie całkiem znasz, to Carolyn Steel zaraz cię wprowadzi w jeszcze więcej szczegółów. Czy jest zatem w ogóle jakaś dobra niewiadoma, po drugiej stronie tego wzoru? Jakaś strategia realnej, trwałej, zmiany na lepsze, odnalezienia równowagi między głodem a przesytem, między pracą a odpoczynkiem, między nieosiągalną, niekoniecznie zawsze chwalebłą prostotą przodków a koszmarnej wizją coraz bardziej nieludzkiej przyszłości? Jak wyciągnąć to, co dobre z postępu nauk i technik, nie skazując się na bycie bezwolnym sługą mechanizmów, które wymykają się spod kontroli? Jak zatem każdy może na swoją małą miarę rozszczełnić system, żeby nasza troska o świat i siebie znalazła praktyczny, planetarny wymiar?

Nie uczą tego w szkole, ale intuicja moralna ci podpowiada, że możesz mieć dobre życie, tylko jeśli zatroszczysz się o swój świat. Niekoniecznie jednak wiesz, co możesz zrobić, zaczynając od swojej kuchni, spiżarni, lodówki, zamiast czekać, aż ktoś znów wymyśli za nas uniwersalne rozwiązanie. Które jak wszystko co uniwersalne, jest dobre dla wszystkich, a zatem dla nikogo. Słusznie zatem dałeś się skusić przez tę książkę. Zaczynaj od siebie, zaczynaj czytać.